

## WCIAŻ WYRYWA GŁUPIE SERCE

STANISŁAW GODLEWSKI

Na scenie stoi realistyczna rzeźba przedstawiająca serce: duży, czerwonosiny kawałek mięsa, symbol wrażliwości, miłości i życia. Mówimy o „szybszym biciu serca”, gdy jesteśmy zakochani, potem mówimy o „złamanym sercu”, gdy nasze uczucia zostają zranione. Tego, kto to sprawił, obwiniamy o „brak serca”. I tak w kółko, aż serce przestaje bić – wtedy mówimy o śmierci.

Sceniczne serce jest nieruchome i twarde – bohaterowie przedstawienia go nie zauważają. Z rzeźby wystają druty, jak z preparatu w laboratorium. Aż nagle druty zaczynają świecić. Jasne żyłki przypominają błyskawice – przez moment można odnieść wrażenie, że to, co martwe, zaraz ożyje, serce zacznie bić. Nie zaczyna. Taki obraz – nieporuszone serce z piorunami w środku.

Ten element scenografii autorstwa Anny Marii Karczmarskiej i Mikołaja Małka dobrze oddaje to, o czym jest „Frankenstein”, najnowsza premiera Teatru im. Żeromskiego w Kielcach. To opowieść o miłości, żałobie i śmierci – a także o fantazji, aby śmierć przezwyciężyć. Możemy patrzeć na rzeźbę jak na fragment potwora, którego Wiktor Frankenstein (Mateusz Bernacik) tworzy w laboratorium z różnych kawałków martwych ciał. Możemy widzieć w niej emblemat ideologii romantyzmu, ale też uznać ją za metaforę uczuć samego Frankensteina – chłopca, który jest bardzo zdolny, bardzo samotny i któremu bardzo wcześniej umarła matka.

Śmierć matki jest tu podstawowym motywem. Spektakl zaczyna się od prologu – po scenie, w kryolinie i białej woalce przechadza się Mary Wollstonecraft (Joanna Kasperek), martwym głosem przekazująca córce wiadomości z zaświatów. Wollstonecraft, feministka, autorka „Wołania o prawa kobiety”, zmarła niedługo po urodzeniu córki, Mary Shelley, autorki „Frankensteina”. Ta ostatnia dorastała w kulcie swojej matki (opowiada o tym książka Charlotte Gordon „Buntowniczką”). Jędrzej Piaskowski i Hubert Sulima, autorzy spektaklu, którzy w wywiadzie przed premierą tłumaczyli Iwonie Kurz, jak ważny był dla nich temat śmierci (matka Sulimy zmarła, gdy miał sześć lat, a rok temu zmarła ciotka Piaskowskiego, bardzo mu bliska), wstawiają na scenę ducha Mary Wollstonecraft, jednocześnie decydując się, by nikt na scenie nie odgrywał Mary Shelley. I to jest jedna z zasad tego spektaklu: zmarli mają tu przewagę nad żywymi, a to, co wyobrażone i niesamowite, jest bardziej prawdziwe niż to, co rzeczywiste.

Scena śmierci matki Wiktora Frankensteina jest niezwykła – oto schodzi się rodzina, by wspólnie świętować urodziny dwóch małych braci Wiktora (Wojciech Niemczyk i Andrzej Plata). Chłopcy mają na sobie marynarskie ubranka, podciągnięte podkolanówki, bawią się i dokazują. Matka (Beata Pszeniczna) idzie do kuchni, gdzie wyciąga wtyczkę z kontaktu – nagle zwarcie, błysk i upadek. Światło gaśnie, rozmowy cichną, serce rażone prądem przestaje bić. Wiktor będzie dalej żył, dorastał i uczył się, ale w tym momencie jego świat wewnętrzny się zatrzymał. Trauma, której doświadcza jako dziecko, nie pozwala mu dorosnąć – dlatego wiele obrazów z tego spektaklu przypomina dziecięce rysunki, uproszczone i śmieszne, a jednocześnie niepokojące.

W wielu scenach obecne są duchy – aktorzy narzucają na siebie białe prześcieradła i wolno suną między innymi bohaterami, niczym dzieci na Halloween (spektakl miał premierę 29 października). W innym momencie przedstawienia nad gnijącego trupa zlatują się muchy

(Dagna Dywicka, Ewelina Gronowska, Beata Pszeniczna), nucąc „Ale to już było i nie wróci więcej” – będą żywiły się zwłokami, porównując, która część rozkładającego się ciała najlepiej smakuje. „Frankenstein” ma dziwny, senny rytm i wywołuje konsternację (wyczuwalną wśród premierowej publiczności) – wiele scen jest tu zawieszonych między serio a buffo. I choć dramaturgia zachowuje przebieg fabuły powieści, to brak tutaj efektownych kulminacji. Losy bohaterów wloką się, atmosfera jest gęsta i nieprzyjemna jak podczas dziwnego i męczącego snu.

Dla mnie „Frankenstein” jest o tym, jak ludzie radzą sobie ze śmiercią i cierpieniem. Ojciec Wiktora (Jacek Mąka) po śmierci żony wpada w obsesję na punkcie elektryczności, próbując zrozumieć, co zabiło jego ukochaną – bredzi coś o elektronach i przewodzeniu, gada i gada, przykrywając ciszę, która nastąpiła w domu. Ojciec widzi, jak wszystko się ze wszystkim łączy, w szaleńczy sposób wierzy, że istnieje jakaś zasada, która porządkuje rzeczywistość. To zresztą dosyć powszechna reakcja na kryzys.

Wiktor próbuje pokonać śmierć przez ożywienie tego, co martwe – kreuje monstrum (Dawid Żłobiński). Jednak gdy Bezimienny (tak twórcy nazwali potwora Frankensteina) próbuje zbliżyć się do swojego stwórcy, ten go odrzuca, jakby z lęku przed zbyt silną zażyłością. Tym samym odtwarza schemat, którego sam doświadczył – kolejny raz w tej historii dziecko zostaje opuszczone przez opiekuna. Bezimienny będzie błąkał się samotnie, niezrozumiany i odrzucony przez wszystkich. Z zazdrością będzie podglądał przez okna pewną rodzinę – dwoje młodych ludzi (Dagna Dywicka, Wojciech Niemczyk) opiekujących się starym ojcem (Jacek Mąka). Dla Bezimiennego ich życie będzie wyglądało jak pasmo szczęścia i radości. My na scenie widzimy ludzi, którzy niczym zombie z martwymi oczami wykonują codziennie te same czynności, automatycznie i bez radości.

W spektaklu rozwija się myśl, że tym, co może pokonać śmierć, jest miłość. Rozumiana tutaj jako totalna anarchia, burzenie starego porządku, otwarcie się na nowe (co naturalnie wywołuje lęk, ale kusi obietnicą nieznanego). W finale przedstawienia Wiktorowi śni się Mary Wollstonecraft – porządku fikcji i rzeczywistości mieszają się zupełnie: fikcyjnemu bohaterowi śni się matka jego autorki. „Jaki ma pan piękny kryzys” – oznajmia Wollstonecraft i namawia Wiktora do tego, by odważył się zamknąć oczy. Zamknięcie oczu to próba dotknięcia rzeczywistości pozamaterialnej, pełnej duchów, zjaw, wytworów pamięci i fantazji, które – podobno – otaczają nas wszędzie.

W tym sensie „Frankenstein” Piaskowskiego i Sulimy jest przedstawieniem romantycznym, dowartościowującym emocje, irracjonalizm, transcendencję, transgresję i wspólnotę. Bezimienny wygłasza do publiczności długi monolog o tym, jak ważne jest tworzenie wspólnot – różnorodnych, queerowych, anarchistycznych, ponieważ dzielenie się swoim doświadczeniem z innymi zmniejsza samotność i daje moc do zmiany świata. Potem dwoje odmieńców – Wiktor Frankenstein i Bezimienny z ciężowym brzuchem – idzie wspólnie, weselnym krokiem, za kulisy, niczym młoda para zaczynająca nowy etap życia.

Jednak ten finał zupełnie mnie nie przekonuje – drażni zarówno deklarowana potrzeba wspólnoty, przesadny optymizm, jak i queerowy dydaktyzm. Ale to, co mnie irytuje, wiele osób pewnie zachwyci – różne mamy strategie na radzenie sobie z piorunami w sercu. Można wierzyć w duchy, w zbawczą siłę wspólnoty (nawet tej teatralnej), można też wierzyć, że miłość jest mocniejsza niż śmierć, a pamięć to pewna forma nieśmiertelności. Można także nie wierzyć w nic. A burze i tak nadejdą.